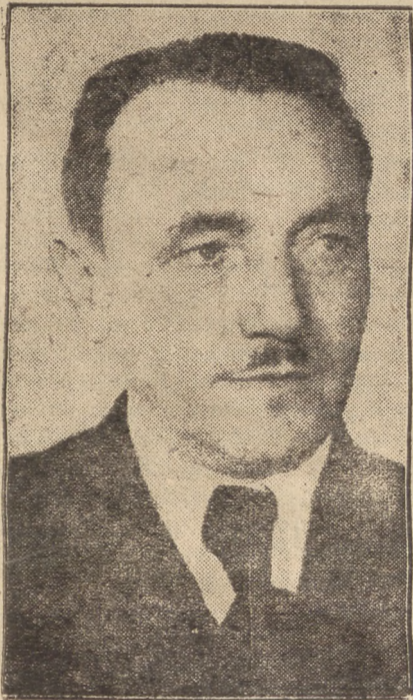




ŚWIAT DZIECI

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

OTWARCIE SEJMU



Prezydent Bolesław Bierut

Życie, dzieci, w czasach, o których kiedyś inne dzieci będą się uczyły z podręczników historii. Tak jak Wy uczyliście się — o sejmach, sejmikach i Wielkim Sejmie Czteroletnim.

Co to jest Sejm — wiecie dobrze Wy, dzieci starsze — tak jak wiedzieliście, co to jest referendum, tak jak roztropnie odpowiedzieliście na pytanie w naszym pierwszym konkursie: „Co to jest Polska demokratyczna?”

„Świat Dzieci” czytają i dzieci młodsze, nawet i całkiem małe. Ale i one słyszą w domu to nowe dla nich słowo „sejm”. Bo o tym mówią i rozprawia bardzo wiele.

Przecież otwarcie Sejmu — to dla każdego Polaka sprawa wielka, doniosła.

Więc tym młodszym dzieciom, żeby nie czuły się gorsze od starszych, opowiemy pokrótce na przykładzie, co to jest Sejm.

W pewnym domu sierot, który prowadził najlepszy w świecie wychowawca, Janusz Korczak, został wprowadzony sejm dla dzieci.

To znaczy, że dzieci same wybierały takich kolegów lub koleżanki, do których miały zaufanie, i tym dzieciom wybranym przez gromadę powierzały swoje sprawy, swoje kłopoty, nawet i swoje kłótnie do rozstrzygnięcia.

A tamci ci wybrani, zbierali się co pewien czas, i naradzali wspólnie nad tym, co im przekazali ich koleżdy i jeszcze nad innymi sprawami, które obchodziły cały sierociniec.

A to, co postanowili wybrani przez gromadę — co postanowił sejm dziecięcy — to obowiązywało wszystkich, cały sierociniec.

Tak samo odbywa się w Sejmie dla dorosłych.

Nad drzwiami sali posiedzeń znajduje się wykuty w marmurze napis po łacinie:

„Dobro Rzeczypospolitej — to prawo najwyższe”.

Tak więc radzić będą nasi posłowie nad tym co jest dla Rzeczypospolitej dobre, najlepsze.

Radzić będą w jedności i zgodzie — w zgodzie i jedności wyobrażając wolę całego narodu.

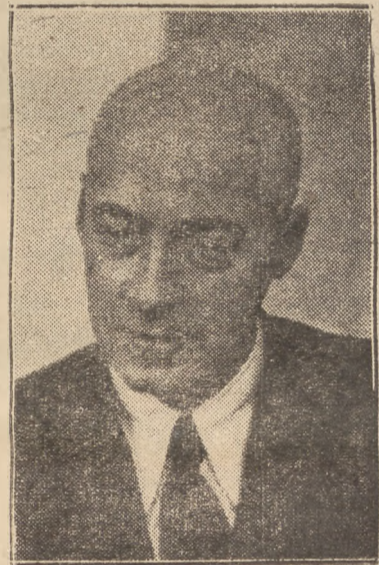
Dzień 4-ty lutego 1947-go, dzień otwarcia Sejmu — przejdzie do historii.

Gmach Sejmu został dźwignięty z ruin w ciągu czterech miesięcy. Tam, gdzie tak niedawno był zarośnięty trawą i zieleńcem plac, na którym poniewierały się szczątki żelaza wśród śmieci i pyłu — dziś stoi biały budynek Sejmu, ze szklaną kopułą, wspinały, dostojny.

Sala posiedzeń — świeża, czystutka. Dużo światła, dużo powietrza. Wysokie kolumny marmurowe. Meble dębowe. Wszystko oblane łagodnym światłem elektrycznym.

Straż marszałkowska, odziana w piękne granatowe mundury z amarantowymi wyłogami, przepuszcza z honorami posłów do sali posiedzeń.

W przeddzień uroczystości otwarcia Sejmu chleb i sól oraz ozdoba purpurowa



Premier Józef Cyrankiewicz

kaseta, w której znajdowały się złote kłódki do sali posiedzeń zostały doręczone Prezydentowi Bierutowi.

Pan Prezydent podziękował w krótkich słowach za ukończenie pracy w terminie. Dzięki wysiłkowi polskiego robotnika i inżyniera Pierwszy Sejm mógł rozpocząć obrady we własnym gmachu.

Najbardziej zasłużeni przy odbudowie Sejmu pracownicy otrzymali nagrodę z rąk Pana Prezydenta w postaci orderów i Krzyżów Zasługi.

W dniu 4-tym lutego pierwszy po wojnie Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej został otwarty.

444 posłów z podniesionymi palcami prawej ręki złożyło przysięgę — ślubowanie poselskie.

Dnia 5-go lutego na specjalnym posiedzeniu obrany został Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej — na siedem lat.

Prezydentem Rzeczypospolitej został dotychczasowy Prezydent Krajowej Rady Narodowej, Obywatel Bolesław Bierut, Premierem Józef Cyrankiewicz.

Dwadzieścia jeden salw honorowych oznajmiło miastu, a radio całej Polsce — o tym doniosłym fakcie.

Mamy sejm — mamy rząd — mamy Prezydenta.



Nowa sala sejmowa

MARIA WISŁOWSKA

MUSI BYĆ GOTOWE...

Odkąd tatuś Janka powrócił z Niemiec, w domu jakby wszystko pojaśniało. Co prawda, na początku tatuś mizerny był bardzo i jakiś czas nawet chorował, ale odkąd wziął się do roboty, to i na stole pojawia się biała bułka czasem, niekiedy kiszka pasztetowa, kaszanka lub sałceson, a ciasteczki dla malej Zosi — to już zawsze.

Ale najważniejsze dla Janka było to, że nie musiał już na mróz wylaływać z papierosami albo z gazetami, jak to było za czasów okupacji, i że nareszcie mógł chodzić do szkoły, tak jak wszyscy chłopcy w jego wieku.



Bo gdy tatusia nie było — zabrali go w łapance ulicznej i wywieźli na roboty do Niemiec — wówczas Janek, najstarszy w rodzinie, musiał wziąć się do zarabiania — dla mamy, dla siebie, dla tego drobiazgu: Zosi, Jędrka i Stefanka.

No, na szczęście wojna się skończyła, Jankowi nie grabiły już ręce na ulicy, nie musiał wskakiwać do tramwajów w biegu, aby sprzedać jak najwięcej — i móc wieczorem przynieść do domu trochę grosza, na czarny chleb z marmoladą.

Teraz Janek chodzi do wieczornej szkoły powszechnej i dogania stracone lata. I mama już nie musi chodzić po domach na posługi, bo na dom pracuje tylko tatuś. Dzieciaki czyste, pomyte, nie marudzą „jeszcze”, bo najedzone, w izbie ciepło — Janek w kąciku odrabia lekcje albo czyta sobie książkę, a dzieciarnia cicha jak makkiem zasiał: wiadomo, Janek się uczy. O trzeciej, kiedy Janek pójdzie do szkoły, zacznie się dokazywanie, ale za to teraz — ani mru-mru.

A Janek jak dorosnie, nie chce być niczym innym tylko tym samym co tatuś. Majstrzem budowlanym. Bo to teraz, po tej wojnie, kiedy Warszawa taka zniszczona, roboty będzie huk. Domy się stawia, przebudowuje, fundamenty, rusztowania... Cegły się zwozi — pustaki, dziurawki, li-cówki. Nieraz Janek słyszy te nazwy i aż

mu się oczy palą do roboty. Chciałby tak jak ojciec pracować: na budowie.

Bo z ojca majster pierwsza klasa, wszyscy tak mówią, i Janek bardzo jest dumny ze swego ojca, ale nigdy na głos tego nie powie, bo mu jakoś wstyd i głupio: własnego ojca w żywe oczy chwalić! Mógłby kto pomyśleć — że się przymila albo podlizuje. Z ojcem trzyma sztamę — „stary” wie, jakiego w Janku ma towarzysza — jak to między robotnikami: jeszcze cztery, pięć lat, a Janek z ojcem będzie chodził na budowę, nauczy się niejednego.

A teraz Janek szczególnie dumny jest ze swego tatusia. Bo ojciec pracuje — nie byle gdzie: — przy odbudowie gmachu sejmowego. Tu będą zasiadać posłowie, radzić nad losami Polski, posłowie wybrani przez cały naród, zgodnie z wolą ludu, sami niektórzy chłopci, robotnicy, jak tatuś Janka, jak Janek, kiedy będzie dorosły.

Janek wprowadzie za młody, jeszcze nie mógł głosować — ale bardzo głosowaniem się interesował — i mało z jednym chłopakiem w szkole nie pobił, kiedy tamten opowiadał, że jego tatuś będzie głosował na czwórkę. Takby Janek chciał, żeby była naprawdę jedność w narodzie, żeby wszyscy byli zgodni i nie klócili się ze sobą. Żeby nie powtarzały się biedy dawnej Polski, kiedy przez warcholstwo, i samowolę, i niezrozumienie interesów gromady Ojczyzna została rozdarta w rozbiorach.

Ale teraz tak nie będzie — skończyła się Polska szlachocka, tworzy się Polska nowa, ludowa, równa dla wszystkich, sprawiedliwa! Zasiądą posłowie w sejmie, będą się naradzali, same mądre głowy, co i jak obmyślą, aby dla Polski było dobrze, jak najlepiej!...

— Ubieraj się, Janek — mówi mama — pójdziemy do ojca. Nasmażyłam placków kartoflanych zamieszam ojcu, tak lubi gorące... żeby tylko nie ostygły przez drogę!

— Gazem idziemy, mamó — ożywił się Janek — przecież to niedaleko od nas, z Piusa na Wiejską... przepraszam, Daszyńskiego, do sejmu. Ja już w palcie.

Matka narzuciła chustkę na siebie, menażkę opatuliła ciepłym szalikiem i rażno ruszyła z Jankiem na ulicę.

Snieg lekko skrzypiał pod nogami, i mróz szczywał policzki. Szli oboje spiesznym krokiem — żeby zdążyć na przerwę obiadową. Ojca nie widzieli ze cztery dni. Pracował ciężko, prawie bez odpoczynku. Więc też chcieli mu jakimś przysmakiem dogodzić.

Wzdłuż chodnika żółci się rozkopana gлина. Nad dolami w wyrwach między płytami chodnika — pochylone postaci, w ciemnozielonych przybrudzonych uniformach wojskowych, w okrągłych czapkach na głowie. Od jednego z dołów dobiegły Janka słowa w obcym, a jakże pamiętnym z czasów okupacji języku... Tylko że wtedy były połączone z chrapliwym wrzaskiem a teraz cicho, tyle że słyszalne w czystym mroźnym powietrzu.

— Mamó, Niemcy! — mruknął Janek.

I aż szczęki mu zadygotały z tłumionej nienawiści.

— Jeńcy niemieccy — spokojnie uzupełniła matka.

— A dlaczego, mamó, nikt ich nie bije, nie pogania, nie katuje? — zawołał Janek urywanym głosem. — Tata opowiadał, jak to oni...

I aż zachłysnął się od wspomnienia krzywdy ojca.

— My nie jesteśmy Niemcy — odpowiedziała matka — my nikogo nie katujemy, nawet nieprzyjaciela. Sądy są od tego, żeby rozsądzać, kto i w czym zawinił.

— A co oni tu robią? — zapytał Janek, o wiele spokojniejszy. — Mamó, jakie roboty oni tu robią?

— Nie widzisz, Jasiu? Wykopują doły pod te maszty... o, takie białe!

— A co będzie na tych masztach?

— Flagi będą wisiały — w dzień otwarcia sejmu.

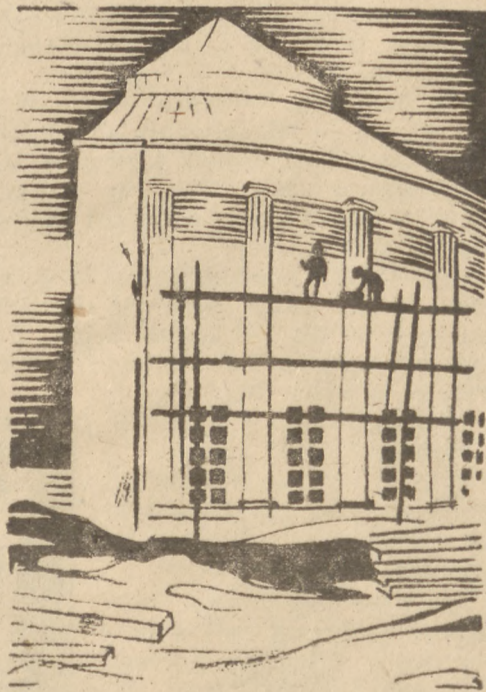
— Mamó, to już przecież niedługo... 4-y lutego, we wtorek! O rany, czy oni aby zdążą?!

— Żeby tam nie wiem co... musi być wszystko gotowe!

Główna brama wjazdowa już ustawiona. Przy ażurowym parkanie pełno ciekawskich. Janek z matką z trudem przepchali się wśród gapiów na dziedziniec, do baraku dla robotników, w głębi placu. Właśnie trafili na przerwę obiadową, chłopcy uwijali się wśród pracujących z miskami gorącej zupy. Tak to ludzie pracują, że nawet nie mają czasu, aby wejść do baraku, i usiąść, i zjeść obiad jak się należy na siedzący.

Ojciec Janka przystanął na chwilę, przywitał się z żoną i synem. Matka podała mu menażkę:

— Zjedz, Antoś... placki kartoflane, lubisz przecieć. Jakaś ty zmarniał biedaku! Zmęczony jesteś bardzo, co?



— Trzymam się jakoś — uśmiechnął się ojciec — choć już trzecią noc nie śpię. Roboty jeszcze do licha i trochę!

— A co się już zrobiło? — spytał Janek nieśmiało.

(Dalszy ciąg ze str. 3)



Dalszy ciąg opowiadania „Droga do sławy”

Już w Ameryce i w innych krajach zakładają fabryki radu, budują instytuty, gdzie leczą radem.

Sława Marii i Piotra wzrasta z każdym dniem. Szwecja ofiarowuje im nagrodę Nobla, Anglia — złoty medal za odkrycie radu.

Stara szopa, gdzie Maria z takim trudem wydobyla pierwszą odrobinę radu, staje się sławną. Zjeżdżają się do niej dziennikarze, fotografowie z całego świata. Znakomici odkrywcy radu, Piotr i Maria Curie wdychają po cichu do tamtych dobrych czasów, kiedy jeszcze nie byli sławni, i kiedy im nikt nie przeszkadzał w badaniach. A dużo jeszcze trzeba pracować, żeby zbadać wszystkie tajemnice tego cudownego metalu. Tymczasem na Marię spada straszne nieszczęście. 16 kwietnia 1906 r. Piotr Curie ginie na ulicy pod kołami omnibusu. Maria traci najlepszego przyjaciela i towarzysza w swojej pracy naukowej. Nie upada jednak na duchu. Pracuje jak dawniej w laboratorium od rana do wieczora. Piotr Curie był profesorem fizyki w Sorbonie. Wykłady jego o radioaktywnych metalach przyciągają tłumy słuchaczy. Któż, jeśli nie Maria Curie, może dalej prowadzić te wykłady? Uniwersytet mianuje Marię profesorem Sorbony.

Maria Curie-Skłodowska jest pierwszą kobietą, która została profesorem tego najslawniejszego uniwersytetu świata. Wkrótce potem rząd francuski przeznacza wielką sumę pieniędzy na budowę Instytutu Radowego w Paryżu. Kierowniczką tego Instytutu zostaje naznaczona Maria Curie.

Wspaniały gmach Instytutu Radowego jest już gotowy. Ale do leczenia cho-

rych potrzebny jest rad. A Maria Curie posiada tylko jeden gram, który sama wydobyla i podarowała laboratorium dla badań naukowych. Skąd wziąć drugi gram dla leczenia chorych. W tym czasie do Paryża przybyła znana dziennikarka amerykańska, Mrs. Meloney. W rozmowie z Marią Curie, Mrs. Meloney dowiaduje się, jak bardzo potrzebny jest Marii jeszcze jeden gram radu.

Dlaczegoż by Ameryka nie miała ofiarować najslawniejszej uczonemu świata tego grama? I oto po roku Maria Curie otrzymuje list z Ameryki. Ameryka za zebrane ze składek pieniądze nabyła dla Marii jeszcze jeden gram radu. Amerykanie zapraszają sławną uczoną, aby przybyła do Ameryki i odebrała ten drogocenny podarunek z rąk samego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W maju 1921 r. Maria Curie wraz ze swymi córkami jedzie do Ameryki. Żadnego króla nie przyjmowano tak, jak witano tę skromną, czarno ubraną kobietę. Na przystani w New Yorku tysiące flag amerykańskich, francuskich i polskich powiewało nad głowami nieprzejrzanych tłumów. 300 biało ubranych młodych kobiet z bukietami czerwonych i białych róż spotyka Marię na przystani. To delegacja Polaków amerykańskich wita swoją sławną rodaczkę. Orkiestry grają hymn narodowy amerykański, polski i francuski, rozlegają się okrzyki we wszystkich językach świata: Niech żyje dobroczyńca ludzkości — Maria Curie Skłodowska.

20 maja w Waszyngtonie prezydent Stanów Zjednoczonych wręcza Marii podarunek Ameryki — gram radu w kosztownej szkatulce, wyłożonej wewnątrz ołowiem.

A potem nowe uroczystości, nowe triumfy.

W Ameryce Maria zwiedza wspaniałe Instytuty Radowe dla leczenia chorych. I myśli ze smutkiem, że wszędzie, we wszystkich krajach chorzy korzystają z jej cudownego radu, tylko najbliższy jej sercu kraj — Polska, dotychczas takiego Instytutu nie posiada.

Po powrocie do Francji, Maria nie przestaje marzyć o tym, aby w Warszawie powstał Instytut Radowy. Za każdym swoim pobytem w Warszawie nie żaluje na to ani sił ani kosztów. Siostra jej, Bronia, pomaga jej z zapalem. Nareszcie wiosną 1932 roku, Maria jedzie do Warszawy na uroczyste otwarcie Instytutu Radowego. Na widok pięknego, jasnego gmachu ze wszystkimi najnowszymi urządzeniami leczniczymi, Marię ogarnia głębokie wzruszenie. Bo oto spełniło się najgorętsze marzenie jej życia: jej wiedza i nauka będą służyć jej ojczyźnie.

Był to ostatni pobyt w Warszawie.

Jak gdyby przecztwając, że już więcej nie zobaczy swej ukochanej ziemi. Maria na drugi dzień rankiem idzie sama nad

Wisłę. I tego samego dnia pisze do córki swej, Ewy:

„Jest taka jedna krakowska piosenka o Wiśle: „A kto cię pokochał — nie zapomni w grobie“. — Zdaje mi się, że to prawda, przynajmniej co do mnie“.

Po powrocie do Francji, Maria pracowała po dawnemu w laboratorium od wczesnego ranka do późnego wieczora, choć miała już 65 lat i należał jej się odpoczynek po 40 latach badań naukowych.

Na wiosnę 1934 r. Maria ciężko zaniemogła. Lekarze długo nie mogli określić choroby. Jedni twierdzili, że to suchoty galopujące, a inni, że złośliwa anemia. 4 lipca 1934 r. Maria umarła. I dopiero po jej śmierci znaleziono przyczynę jej choroby. Zabójcą Marii Curie-Skłodowskiej okazał się rad.

40 letnia praca nad radem zatruła jej organizm. Ten sam rad, który uzdrowił setki tysięcy ludzi, zabił tę, która go odkryła.

H. BOBIŃSKA

C R E D O

Wierzę w ducha potęgę i w wiedzy
zdobyczość
Wierzę w cel życia wzniosły, święty,
choć daleki
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła
tajemnicze,
Które przez wrzawę dziejów wiekom
dają wieki.
Wierzę w dobro, co z czołem białym
od promieni
Wyleczy kiedyś ludzkość z jej ran i z jej
cieni...
Wierzę, że bohaterscy ducha pracownicy
Ujrzą jutrznię dni nowych ze swojej
strażnicy.
Wierzę w ciszę i spokój po gromach
i burzy;
Wierzę w siłę, co walcząc ze złem się
nie znuży...
Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy
cały;
Wierzę w nieskończoności białe ideały;
Wierzę, że z drobnych iskier, skrzęsanych
przez dzieje,
Wielkie, wspólne ognisko ludzkości
roztleje.

MARIA KONOPNICKA



Dokończenie ze str. 2.

Taki obcy i daleki wydawał mu się ojciec, choć to przecie własny tatuś, kiedy tak stał wśród pracujących i widać było, że się spieszy, że się pali z powrotem do roboty, że za nic ma zmęczenie, i niewyspanie, i niewygodę — że wszystko nieważne, ważne tylko jedno: aby zdążyć na czas! — Dużo byłoby gadać o tym co się zrobiło — odpowiedział Jankowi. Tę kopulę na przykład zmontowało się w ciągu jednej nocy. Uwzięliśmy się, żeby na dzień wyborów była gotowa. I była gotowa.

— Ojej, taka kopuła! — zadziwił się Ja-

nek. — Musi być ciężka... jak nie wiem!

— Waży dwanaście ton — objaśnił ojciec — popatrz się, synu, wieczorem, jak to ładnie świeci mlecznym światłem. No, moi drodzy, dziękuję wam bardzo, ale już zmykajcie. Każdej chwili szkoda!

— Tatusiu — ociągał się jeszcze Janek — ale czy aby zdążycie na czas... Przecież ten wtorek już, już... a tu jeszcze tyle roboty!

— We wtorek 4-go lutego o siódmej rano ostatni robotnik zjeździe z budowy — odrzekł ojciec. — Bądź spokojny: wszystko będzie, wszystko musi być gotowe!...

Wracając, zagapił się Janek na wielki traktor, który ubijał pokrytą żwirem przesterzeń na dziedzińcu przed gmachem: sapaf ciężki i tykał jak wielki zegar, a posuwał się jak czołg. Gmach całkiem gotowy, półokrągły, jakby trochę ścięty, bielony — a płaskorzeźby na ścianach odbijają tak ładnie, trochę ciemniejsze niż białe tło. I w górze mleczna, lekka kopuła...

— Jak już tyle zrobili, to na pewno zdążą — pomyślał Janek z otuchą w sercu.

— Musi być gotowe! Mama powiedziała i tatuś powiedział tymi samymi słowami... a przecież się nie umawiali!...

ICIĘC kupił Wojtkowi nowe narty. Nie były jakie. Prawdziwe, takie jak ma Stefan. Isnące i lekkie, sprężyste, ładnie wyglądające. To dopiero będzie jazda...

— Casy świat można na nich objechać? Prawda tatuś?

— Bo Wojtek dotychczas jeździł na deszczach własnej roboty, które ciągle grzęzły w śniegu, łamały się i w ogóle nie chciały jechać jak się należy. Nie dziwne, że kawase Stefan był pierwszy u mamy, i nie dziwne, że Stefan nigdy prawie nie wywracał się a Wojtek przychodził do domu nityłony w śniegu jak nieposłite stworzenie.

— Wojtek chciał już zaraz po obiedzie wypróbować nowy swój skarb, ale ledwie wstał od stołu, matka powiedziała:

— Wojteczku, dzisiaj już nie pojedziesz. Muszę iść do Marchinkowej, bo chora i trzeba jej trochę pomóc w domu, a ty bymaszem zostaniesz i będziesz pilnował Marysi, żeby nie plakala, jak się obudzi.

— Gdzie było robić? Wojtkowi aż żay w oczach się zakręciły, ale wiedział, że z matką dyskusji nie ma.

— Ojciec poszedł znów do roboty, mama smyla stalił i nadozyla palto.

— Jutro pojedziesz, sobie ile zechcesz — powiedziała na odchodnym i pogładziła syna po głowie.

— Usiadł Wojtek na stoleczku, kolo Marysinej kółki i patrzył jak zaczarowany na narty. Stoją w kącie takie śliczne, nowutkie, ładne i aż zdają się prosić:

— Spróbuj Wojteczku, jak świetnie jeźdźmy... Raz tylko spróbuj a zobaczysz...

— A Marysia spłonie, równiutko oddechła i czy Wojtek będzie siedział tu, czy nie, będzie tak jeszcze spała dwie godziny.

— Liczy Wojtek:

— Gdybym od razu za mamą wyszedł, zdążyłbym już dwa razy zjechać. I co? I dziny w niebie nie byłoby z tego powodu...

— Stefan znów zastukał do okna:

— Chodź na narty...

— Nie mogę, widzisz, że dziecka płynie...

— Co tam z takim łanogą gadacie...

— Tego już było za dużo. Wojtek zaciął się.

— Czekał, porachujemy się...

— Pł... A co mi zrobisz? I tak mnie nie dogonisz.

— Odepchnął się kikutami i pomknął przez podwórko. Z okna widać było, jak zakręcała na drogę i sunie w stronę górki.

— Ja ci pokażę... Zobacysz, czy nie dogonię i nie przegonię. Zobaczymy kto będzie łanogą...

— A za oknem śnieg łani i iskrzy się i ławuje od zachodzącego słońca.

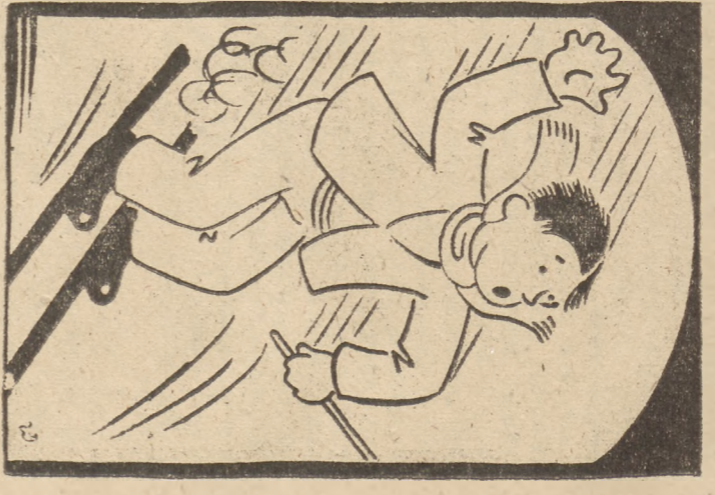


— I nagle, nie wiadomo jak się to stało — Wojtek stoi już na podwórku i narty ma przypięte. Zupnie nie pamięta, kiedy wyszedł z domu. Nim matka wróci, Wojtek już dawno będzie w domu, i Marysia się nie zbudzi, i nie przestraszy się, i nie będzie plakala. Tylko do tej gołki dojechać i raz pokazać Stefanowi, że on też na porządnych nartach nie gorzej jeździ.

— Ledwie to pomyślał, jeszcze się nie zdążył odepchnąć, narty same ruszyły — leciutko, przez podwórko, przez drogę aż do tego miejsca, gdzie pole wielkim garbem w górę się pięło.

— A, przyszedłeś jednak — krzyknął Stefan, czerwonymi rękami rozcierając zamrażające policzki.

— Wojtek nie odpowiedział. Wspiął się



na górę i zjechał. Nie nie zjechał — jak płak zjechał. Zakręcił ślicznym łukiem na dół i z powrotem zaczął się wspinać. Znowu zjechał, tak ładnie, że aż wszyscy nartciarze zatrzymali się i patrzyli.

— Marusz do nas przyjechał czy co? — Ależ nie, patrzcie do nas Wojtek...

— Kto go tak nauczył? Patrzcie państwo...

— A Wojtek udaje, że nie słucha, choć serce z radości aż rośnie.

— Może chcesz mnie gonić na równym? — wyzywająco zaproponował Stefanowi.

— I pomknął drogą w stronę lasu. Miał zamiar wprawdzie jechać w kierunku wsi, ale tak narty jakoś zakręciły, po swoim. Ciężutko, tylko śnieg szeleścił i syczał zasapany oddech Stefana.

SZALONA WAZEDA

— Zmęczyles się? — pyta Wojtek.

— Nie — odpowiada Stefan, z trudem łapiąc powietrze.

— No to jedziemy dalej...

— Kolo lasu Wojtek chciał zawrócić, ale tu stała się rzecz niespodziewana. Narty, jakby je kto na sznurku ciągnął, nie chciały stąkać, ani skrzęcić. Wjechał w las, pełen teraz granatowych ciem, śnieżny i tajemny. Przez jakieś niezamie szkiełki i prześwicia, przez wąskie szczeliny między zarostami nosły narty Wojtka wciąż dalej i dalej.

— Wojtek — dobiegł go z daleka głos Stefana. — Czas już wracać. Wieczór zapada.

— Wojtkowi nagle przypomniało się, że Marysia na pewno obudziła się i płacze sama w domu, że niedługo wróci matka...

— Spróbował zatrzymać się, ale narty niósły dalej. I to coraz prędzej, na przelaj, przez las, przez zagajniki, aż zamrznięte gałęzie były w twarz i oczy. Wreszcie pochwytył rękami pień jakiegoś sosny i zawisił na nim.

— Stefan! — krzyknął — tu czekam na ciebie.

— Z oddali dobiegł trzask gałęzi i szanowanie się. To Stefan torował sobie drogę przez gąszcz. Gdy ukazał się w wyłotku ścieżki, Wojtek go nie poznał. Czerwony był i zasapany, czapkę gdzieś zgubił, mógł kre kosmyki włosów przyklepiły mu się do spoczonego czoła.

— Wariata trzeba, żeby tak jechać — mruzczał, strzępiąc śnieg z ubrania.

— Mogłeś wracać.

— Żebyś później powiedział, że ci nie dotrzymałem kroku? No, ale teraz wracajmy.

— Wojtek chciał puścić pień, ale poczuł, że narty znów same ruszają z miejsca, ulewały się więc jeszcze mocniej i stał chwilę nieruchomo. Wstydził się powiedzieć Stefanowi, że nie pamięta nad nartami, że one same robią co chcą, i bał się zostać sam w lesie.

— Złap mnie za pasek — powiedział wreszcie. Ja nie jestem zmęczony to ciągnij mnie — wyzywająco zaproponował Stefanowi.

— I pomknął drogą w stronę lasu. Miał zamiar wprawdzie jechać w kierunku wsi, ale tak narty jakoś zakręciły, po swoim. Ciężutko, tylko śnieg szeleścił i syczał zasapany oddech Stefana.

— Wariaci! — krzyknął za nim. — Już wam drogi za mało! Już po domach jeździć wam się zachciewał!

— Za wsią było pole a potem droga równa i szeroka. Mrok gęsty zapadł, wyszedł nań albo błąd księżyc.

— Wojtek, gdzie my jesteśmy? — spytał Stefan, gdy przeskoczyli przez jakiegoś row i znów znaleźli się w polu.

— Nie wiem — odpowiedział Wojtek. — Ktoś mi tu szalona jazda porządną już dokazała.

— Wracajmy do domu — pacyliwie powiedział Stefan.

— Wracaj, jak chcesz.

— To mnie puść!

— Weźcie się nie trzymam...

— Teraz dopiero okazało się, że narty były naprawdę zaczarowane. Nie tylko nie chciały się zatrzymać, ale i Wojtek na nich nabierał właściwości magnesu. Stefan próbował oderwać się od niego, ale daremnie. Ręce, jakby przywiązane sznurkami, jeszcze mocniej zaciskały się na Wojtkowym pasku. W dół błysnęły światła.

— Czekał — pocieszał Wojtek przyjaciele — tu będzie jakieś miasto, może potrąfimy się tam zatrzymać.

— Ale narty ani myślały zwolnić. Jechały przez ulice, przez zburzone domy, przez ruiny. Na próżno zdławiony milicjant gwizdał i rozstawiał ręce. Wymingł go jak blyskawica i znaleźli się na przedmieściach.

— I tu nagle niespodziewanie stanęli.

— Zaraz zbiegła się gromadka ciekawskich, i dalejże pytać, skąd jada? Dlaczego nie zatrzymał się gdy milicjant ich wołał? Gdzie wybierają się tak późno w noc?

— A co to za miasto? — wyrwał się na niego Stefan.

— Zebrani popatrzyli po sobie.

— To takie z was pizszki? Jedziecie i nawet nie wiecie jakie miasto?

— Zaraz, zaraz — próbował wytłumaczyć Wojtek — my jesteśmy spod Warszawy z Srodobrowa, wyjechałiśmy na spacer i narty nas poniosły...

— Ale przerwano mu śmiechem.

— Co? Spod Warszawy aż tu was narty przyniosły? A toż to Olsztyn! Czekaćcie, krzba sprządnąć coście za tacy...

— Wojtek — z płaczem krzyknął Stefan — arcaślują nas. Coś ty narobił!

— Głoho. Jak arcaślują to i dobrać. Przynajmniej do domu odwówa. Jak naszej wóciśz teraz, co?

— Schylił się, żeby odgiąć narty, ale te jakby przymarzły, jakby przystosy do nóg.

— Może kto z państwa pomoże mi poprosić, bo go samego już strach obiektał. — Pobiegł wyrostek w kierunku Stefana.

— Co? Takie zaczarowane narty, że najpierw niosą cię z Warszawy do Olsztyna, a potem odgiąć ich nie można? Dawaj je sobie z nimi poradę...

— Ledwie jednak nachylił się i dotknął nart, gdy te szarpnęły i pojechały naprzód, że tylko wiał w uszach świstał.

— Noc była wokolo ciemna. Nie widzieli na wet gdzie się znajdują. Czuli tylko, że jadą z coraz większą szybkością. Potem zawało im się, że znajdują się na wodzie. Wojtek zaciął zęby. Staral się nawet nie myśleć, co będzie dalej. Uciepiony jego paska Stefan pochłipywał cięhtuko.

— Przepadłiśmy, z krelessem przepadłiśmy. Już nigdy do domu nie wrócimy, i oo bo tak szumni!

— Jedziemy po jakieś wodzie — odpowiedział Wojtek. — Nigdy nie widzieliem, że narty mogą chodzić po wodzie. Z głośnym świstem syreny wymingł jak

— Jedziemy prosto do bieżuna — zawykrował Stefan. — To jest Morze Norweskie...

— Nie wiem i nie mamie to nie obchodzi — odbruszył Wojtek.

— Nie wiesz i nie na darmo masz zawieszę z geografii dwie. Ale ja wiem i wiem, że przed wieciorom będziemy już na Morzu Arktycznym, a wieciorom zasiądziemy sobie na osi ziemskiej, jak na karuzeli...

— I rzeczywiście nie długo wjechał na śnieżną lodowatą równinę.

— Widzisz — gadał bez przerwy Stefan — teraz jedziemy po lodzie. A wiecież daliśmy takiego w zwierzyńcu, ale byłem jeszcze bardzo maly, ledwie parngława. Chciałbys spotkać niedźwiedzia?

— Daj mi święty spokój z niedźwiedziami. Nie nie chciałbym zobaczyć. Zmarzłem i jeść mi się chce.

— No to właśnie, upolujemy niedźwiedzia, ubierzemy się w jego skórę a mięso zjemy.

— Ciekaw jestem czym będziesz polował i jak na tych zwartowanych nartach. O tym Stefan nie pomyślał. Ale w tej chwili zza lodowej skały wyszedł nęprawde biały niedźwiedź. Futro miał długie aż do ziemi, czarne male oczki i taki sam nossek i szedł prosto na chłopców. Teraz przestraszył się i Stefan.

— Wojtek, zmykajmy, prędzej!

— Dobrze ci mówić, przedez to odmie nie zależy...

— Patrz — krzyknął nagle Stefan — Patrz tam na prawo!

— W tej stronie na czarnym niebie plonął czerwono pomaranzczowy ogień. Słychać było jakiś szum, ciele powietrze zdawało się palić.

— Co to? — krzyknął przerażony Wojtek.

— Sam nie wiem, chyba zorza poterna.

— To jesteśmy już tak daleko.

— Nagle zaczęli się kręcić na miejscu w kółko. Zakręciło im się w głowie, narty poplątały się zupełnie.

— Jesteśmy na biegunie — szepnął Stefan — ale czyż nie ruszymy już z miejsca? Czyż ciele życie będziemy się tak kręcić?

— Ratunku — krzyknął Wojtek — eho! wiedział, że ratunek znikąd przyjeść nie może.

— Ale ratunek przyszedł. Ktoś szarpnął go mocno za ramiona i postawił na nogach. Otworzył oczy. W pokoju paliła się lampka. Matka stała przed nim w osmieszonym paście.

— Ależ spatesi! — zaszłatała się — mo nogiłam cie dobieżyć. Pierwszy raz widać, żeby ktoś siedząc na krześle tak twarzą spał.

ZOFIA KWIECINSKA



NIEFORTUNNY FIGIEL



Najweselszym chłopcem w drugiej klasie był Ludwik, który sam siebie przezwiał Kiwdulem. Nadzwyczajnie miewał pomysły. Raz pudła swego ustroił w kapelusik damski z różowej bibulki, to znów kiedy indziej zjawił się z czarną kokardą na ramieniu. Pytamy, co znaczy ta ozdoba? A on w bek, że jest w żałobie. Płacze, zanosi się... Kto umarł?... Królowa Bona, powiada. Więc go uspokajamy: nie martw się, Kiwdul, bo nieboszczka miała by teraz blisko 400 lat. Więc się zaraz ucieszył, zrobił z dłoni miseczkę, zebrał do niej wyplakane lzy, wypił i zdjął czarną kokardę.

Śmieliśmy się z jego konceptów i wszyscy go lubili, bo nigdy żartami swymi nikomu nie dokrzyzył.



Inaczej było z Olkiem. Także był figlarz, ale zupełnie innego rodzaju. Lubił bawić siebie i innych cudzym kosztem. Przyjaciół nie miał, choć ich szukał i wybierał sobie coraz to innego kolegę, z którego robił wspólnika swych psikusów.

Przyszła raz kolej i na mnie.

— Słuchaj, mam doskonały pomysł — rzekł, wychodząc ze szkoły.

I opowiedział szczegółowo, o co mu chodzi. W jego sąsiedztwie, o piętro niżej, mieszkali jacyś ludzie nieznośni, którzy wciąż się skarżyli: a to, że Olek za głośno tupie, a to, że skacze, że im sufit pęka, lampa się trzęsie, obrazy ze ścian lecą i Bóg wie co jeszcze. Więc, naturalnie, matka i ojciec na niego: Olku, zachowuj się spokojnie, Olku, nie skacz, Olku, nie hałasuj... Istne utrapienie.

Sam byłem raz świadkiem niemilego zajścia. Poszedłem do Olka (bo najbliższej mieszkał), żeby się dowiedzieć, co zadane z historii. Pokazało się, że o Aleksandrze Wielkim. Więc Olek zaraz zo-

stał Aleksandrem, mnie zrobił królem perskim, Dariuszem, skoczył okrzykiem na krzesło, które stało się nagle koniem Bucefałem i rozpoczęła się wielka wojna o zdobycie Małej Azji. Miałem wkrótce podbite oko, Bucefał dwie przednie nogi złamane, Aleksander Wielki trochę naderwane lewe ucho... Wszystko szło ślicznie, gdy nagle — dzwonek.

Biegniemy do przedpokoju, a tam służąca z dołu. Awantura. Ze „co to jest? Co to takiego? Panią głowa boli, a tu takie piekło!... Ze pójdzie po miłicję“... Nakrzyczała, nakrzyczała, trzasnęła drzwiami i poszła.

Tej to właśnie dziewczynie postanowił Olek spłatać figla.

— Wiem — powiada — że na jutro zamówiła klucz od góry. Pójdzie tam, wiesz, bieliznę. Schowamy się przebrani i nastraszymy ją, jako dwa upiory.

Nie bardzo mi się to podobało, ale dał dwie Ameryki, jedną Portugalię (której właśnie brakowało w moim albumie marek) i kamień do klas, więc niepodobna by to odmówić.

Nazajutrz, o umówionej porze zjawiłem się u Olka. Miał już wszystko przygotowane. Drzwi strychu otworzył, ale klucz powiesił na zwykłym miejscu. Kazał mi iść za sobą. Na większych krętych schodach zdjęliśmy trzewiki, żeby naszych kroków nikt nie słyszał. Wkrótce znaleźliśmy się pod samym dachem. Mroczno tu było i tajemniczo. Małe kwadratowe otwory przepuszczały więcej chłodu niż światła, które nie dosięgało dalszych kątów. Ze ceglanymi kominami panowała ciemność zupełna, a liczne słupy drewniane trochę przypominały las.

Olek zaprowadził mnie na sam koniec strychu, gdzie trzeba było pełzać na czworakach, bo dach załamywał się tu nad samą podłogą. Z jakiejś skrytki wyciągnął dwa prześcieradła kąpielowe i jedno zarzucił sobie na plecy, a drugie zawiązał mi pod szyją, osłoniwszy głowę kapturem. Potem nałożył sobie na twarz czarną maskę z czerwonymi rogami i wyglądał w niej, jak rodowity kominiarz jego lucyperskiej mości. Mnie samego lęk ogarnął na widok tak straszego stracha.

Poprowadził mnie do najciemniejszego kąta, kazał usiąść w kucki i czekać, aż da znak.

— Jak zawołam trzy razy hu-hu-hu — powiada — wyskoczysz i zaczniesz podnosić i opuszczać ręce. A tymczasem siedź, nie ruszaj się.

Kucnąłem, siedzę... Ciemno, ciasno, niewygodnie. Kolana boją, plecy boją. Tuż koło mnie coś chrobocze. „Olek, słyszysz?“ — „Słyszę.“ — „Co to być może?“ — „Bo ja wiem? Przestało.“ — „Aha, przestało.“ — „To pewno szczur.

Cicho! Nic nie gadaj.“ — Ucichłem. Znów czuję coraz większy ból w zgiętych kolanach, a do uszu dolatuje chrobotanie szczuła. Zdaje mi się, że jest tuż przy mnie, że mi nadgryza obcas... „Olek! — odzywam się stłumionym głosem — ja tu dłużej nie mogę siedzieć!“... „Cicho bądź, nie gadaj. Zaraz dam ci znak, to wyskoczysz.“

Mija jedna minuta, druga trzecia... Olek znaku nie daje, a przekłety szczur nie traci czasu tylko skrobie i skrobie. Mam wrażenie, że mi już pół obcasa spałaszował i dobiera się do mojej własnej, żywej pięty.

— Pudziesz! — zawołałem przerażony i zacząłem wierzgać to jedną, to drugą nogą. Rozległ się pisk, potem coś prze-



skoczyło mi przez głowę... Dotąd nie mam pojęcia, co to było. W tejże chwili wyraźnie zaskrzypiały schody. „Uwaga!“ — zakomenderował półgłosem Olek, stojący za szerokim ceglanym kominem. Skrzypienie schodów nagle ustało. „Uwaga!“ — powtórzył — zaraz otworzy drzwi“.

Cały zamieniłem się w słuch, gotów wyskoczyć z kąta, nie tyle dla straszenia kogokolwiek, ile gwoli wyprostowania zbolalych nóg i grzbietu. Daremnie jednak oczekuję Olkowej komendy. Drzwi się nie otwierają, a — co dziwniejsza — kroki na schodach zdają się oddalać. „Słyszysz, Olek?“ — „Słyszę!“ — „Co to być może?“ — Mój towarzysz diabeł podrapał się w czerwony róg i żadnej nie daje odpowiedzi. Z szerokich tekturowych warg wydobywa się jakiś niewyraźny bełkot: „Nie wiem... Może zapomniała cze-go... To nic... Zaraz wróci“...

Dalszy ciąg na str. 7.



Siadł Burek pod murek i myśli:
„Oto przyszła zima, a ja budki nie mam.

Nic nie warta budka stara,
bo tu dziurka, a tam szpara.

Złe się będę w lutym miał
hau, hau, hau, hau, hau, hau!



Chyba zaraz się odważę
i szczeknę na gospodarza“.

I łaps! Burek gospodarza za nogawicę:

— Gospodarzu przyszła zima,
a wasz Burek budki nie ma.

Nic nie warta budka Burka,
bo tu szpara, a tam dziurka.

Jakże będę wam hau, hau
w mrozy domu pilnował?

— A nie róbże hałasu
nie mam teraz czasu —

odrzekł gospodarz i najzwyczajniej po-
szedł do koni co były w stajni.

Siadł Burek pod murek i znów myśli:

„Oto przyszła zima, a ja budki nie mam.
Chyba za spódnicę gospodynię chwycę“.



I łaps! Burek gospodynię za czerwony
rąb spódnicy:

— Gospodyni, przyszła zima
a wasz Burek budki nie ma.

Stara budka nic nie warta,
bo tu dziurka, a tam szpara.

Jakże będę wam hau, hau
domku teraz pilnował?

— A nie róbże hałasu,
nie mam teraz czasu. —

Rzekła gospodyni i pobiegła do kuchni,
gdzie w nowym saganku gotowała się
marchew z kwiatkiem majeranku.

A Burek siadł pod murek i myślał:
Chyba będę musiał szczeknąć na Franusia.
Niech zadba o psisko, gdy już luty blisko.
Idzie Franuś ze szkoły, a Burek łaps go za
guziki:

— Mój Franulku, przyszła zima,
a twój Buruś budki nie ma.

Gospodarze wciąż zajęci,
miejże mnie choć ty w pamięci. —

Rozczulił się Franuś nad pieskiem i woła:

— Mój piesuniu, mój malutki,
nie zostawię cię bez budki. —



I zrobił Franuś Burkowi nową budkę
i mchem ją zaopatrzył i słomą. Siedzi w
niej teraz Burek i szczeka, aż go słychać
z daleka.

„Hau, hau, hau, nową budkę mam!“

LUCYNA KRZEMIENIECKA



Dokończenie ze str. 6.

Jeszcze nie skończył, gdy z dołu, z po-
dwórza doleciały nas liczne pomieszane
głosy. Piskliwe krzyki kobiet przerwał
głęboki bas pana dozorca: „Zaraz ja tam
pójdę z panną Florcją. Zobaczymy, co to
takiego“ — donośnie grzmiał mistrz mio-
tły. „I ja lecę... I ja, i ja... Wszystkie pój-
dziemy!“ — krzyczały niewiasty.

— Uciekajmy! — zakomenderował drżą-
cym głosem Olek. I podwinąwszy białe
prześcieradło, popędził ku drzwiom. Ja za
nim, choć nie rozumiałem, co się stało.
Biegnę. Długi płaszcz stracha płacze się
między nogami. Chcę go zrzucić, ale su-
peł pod szyją nie daje się rozwiązać. Rym-
nałem, jak długi tuż przed rzwiemi. Zry-
wam się... A tu Olek stoi i mocuje się z
klamką. Ktoś, widocznie, drzwi na klucz
zamknął.

Tymczasem głosy ludzkie z podwórza
przeniosły się na schody, które zaczęły
trzeszczeć coraz bliżej, coraz bliżej pod
ciężarem licznych rozmaicie obutych stóp.
Przerażony diabeł odskoczył od drzwi i
pomknął w głąb strychu. Ja staram się
dotrzymać mu kroku, ale znów mój płaszcz
przeszkadza. Potykam się, przewracam,
wstaję, pędzę dalej... „Olek! gdzie jesteś?
Olek!“ — wołam rozpaczliwie. Cisza.
Schował się gdzieś, a tu ciemno, nic nie
widać... Słyszę tylko, że się drzwi otwie-
rają. Zdrętwiałem. Uzbrojony w miotłę,
kroczy stróż na czele armii kobiecej. Nie-
wiasty również nieźle uzbrojone. Ta ma
w ręku szczotkę, owa tasak, inne walek
od ciasta. Krzyczą wszystkie razem, ale
najdonoślej rozlega się piskliwy głos jed-
nej.

— Muszą tu być, bo drzwi zastałam
otwarte, a potem zaraz je zamknęłam.
Więc którędy by uciekli?

— Hoho! — odezwał się głos męski —
panna Florcja myśli, że złodziej nie umie
po dachu ucjekać?...

Z tej rozmowy łatwo już się domyślić,
że wzięto nas za złodziei, bo otwarte
przez Olka drzwi wzbudziły takie podej-
rzenie w dziewczynie, którą mieliśmy na-
straszyć. Zanim się sprawa wyjaśniła,
dostałem po głowie miotłą, która okazała
się mocniejsza nawet od diabelskich ro-
gów Olka.

Była potem jeszcze cała, dość długa
awantura, o której już opowiadać nie bę-
dę. Powiem tylko, że odląd postanowiłem
nie brać udziału w figlach, których celem
nie jest zabawa, ale chęć dokuczenia ko-
muś.

BENEDYKT HERTZ

BAJKI

Za okienkiem śnieżek.
Tomek książkę bierze.
Jest tam, jak się zdaje,
cały tuzin bajek.
Jedna o krasnalku,
co w łódce z orzecha
poprzez leśny strumyk
na majówkę jechał.
Druga o sierotce,
co była tak dobra,
że ją cały naród
za królową obrał.
Trzecia o kwiatuszku,
co wyrósł na lipce.
Czwarta o dziaduszku,
co miał złote skrzypce.
Słucha bajek Hala
i piesek, i lala,
I ten cichy wieczór,
co gwiazdy zapala.

L. KRZEMIENIECKA



KACIK ROZRYWKOWY

ZAGADKI

1. Czasem bywa stara
o zgarbionych plecach,
to znów wonna, świeża
wyjada prosto z pieca.
2. Czasem dzieci go z lasu
przynoszą w zapaskach;
gdy suchy — płonie różno
i wesoło trzaska.
I nym razem usmaży
go mama swym dzieciom.
Obliczają paluszki
Hania, Basia, Miecio.
3. Gdy wiosna przyszła,
gdy wiatr ciepły powiał,
to ich szukałeś
wśród krzewów listowia.
Tej samej nazwy
słodkie, lukrowane,
w tłuszczu smażone
od mamy dostanę.
4. Jedne melodią
rozbrzmiewają skoczną,
inne na stole
wielkanocnym spoczną.
5. Ten jaśnieje błękitem;
ów purpurą płonie;
gdy je z ręki wypuszczę
już ich nie dogonię.

LAMIGŁÓWKA

5	6
4	7
3	8
2	9
1	10

Znaczenie wyrazów: 1. Gatunek ryby.
2. Inaczej wrzątek. 3. Przyprawa mineralna do potraw. 4. Znak liczbowy oznaczający kolejność. 5. Zdrobnienie od imienia Zbigniew.

LAMIGŁÓWKA ZAPALKOWA

Z sześciu zapalek ustawicie cztery trójkąty równoboczne, czyli takie, których każdy bok będzie się równał całej długości zapalki.

ZABAWA TOWARZYSKA

Dzieci siadają na krzeselkach, tworząc kolo. Jedno z dzieci trzyma związaną w pytkę — chusteczkę. Wybrawszy jedną z koleżanek, lub kolegów, dziecko rzuca doń chusteczkę, wypowiadając przy tym pierwszą sylabę jakiegoś wyrazu. Dziecko, które chwyta chusteczkę powinno szybko wyraz ów dokończyć. Może to być — i w większości wypadków z pewnością będzie — inny wyraz, niż ten, o którym pomyślało pierwsze dziecko, musi mieć tylko tę samą pierwszą sylabę (np. kro-wa, kro-kodyl, kro-pła itp.).

Zabawę tę można urozmaicić. Dziecko pierwsze, rzucając chusteczkę mówi jakiś wyraz, drugie, odrzucając chustkę następnemu, dopowiada inny wyraz, mający związek z poprzednim itd., aż powstanie całe zdanie. Dziecko, które kończy zdanie, rozpoczyna znów następne.

Można tę grę prowadzić jeszcze w następujący sposób: Dziecko, rzucając chusteczkę mówi jakiś wyraz (rzeczownik), zaczynający się np. na literę s. Dziecko, które chwyta chusteczkę mówi wyraz, którego pierwsza litera jest następną w alfabecie, czyli w tym wypadku t. A więc po wyrazie „sowa” należy odpowiedzieć: trawa, topola, trufla. Po wyrazie np. „baran” — cielę, córka; cepy. Po wyrazie „piłka” — rosa, ruń, robota itp.

W zabawie tej chodzi o wykazanie znajomości alfabetu i o szybką orientację. Dziecko, które każe czekać długo na odpowiedź — daje fant.